

Jerzy Eisler: Publicysta – Tomek – Minister

Mimo podejmowanego wysiłku nadal nie jestem w stanie przypomnieć sobie, kiedy poznaliśmy się osobiście. Co więcej, nie pamiętam nawet, czy kiedykolwiek byłem z Tomkiem na „Pan”, czy też od razu „młodzieżowo” zwracaliśmy się do siebie po imieniu? – pisał Jerzy Eisler w „Księdze pamięci Tomasza Merty”.

Na pogrzebie Tomasza Merty bezskutecznie próbowałem sobie przypomnieć, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach poznaliśmy się. Jedno, co zapamiętałem, to że najpierw znałem jego nazwisko, a dopiero później – po paru latach – poznaliśmy się osobiście. Pośrednio zetknąłem się więc z nim w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych na łamach redagowanego przez Tomasza Wołka dziennika „Życie”, gdzie obaj zamieszczaliśmy swoje artykuły. Bardzo lubiłem czytać solidnie udokumentowane, rzeczowe, wyważone i – co nie mniej ważne – dobrze napisane teksty Tomasza Merty. Nawet, jeżeli czasem nie we wszystkim z nim się zgadzałem, to jednocześnie miałem poczucie, iż obcuje z artykułami autorstwa erudyty i zarazem człowieka, któremu naprawdę na coś ważnym zależy i o coś istotnego chodzi.

Mimo podejmowanego wysiłku nadal nie jestem w stanie przypomnieć sobie, kiedy poznaliśmy się osobiście. Co więcej, nie pamiętam nawet, czy kiedykolwiek byłem z Tomkiem na „Pan”, czy też od razu „młodzieżowo” zwracaliśmy się do siebie po imieniu? Bodaj najlepiej natomiast zapamiętałem nasze wspólne spotkanie w październiku 2004

roku w Kazimierzu nad Wisłą. Mieliśmy wówczas okazję porozmawiać dłużej w bardziej osobisty sposób. Tomek był wszak znakomitym partnerem do takich poważnych-niepoważnych rozmów. Spotkanie to miało miejsce przy okazji pierwszego z cyklu organizowanych przez Oddziałowe Biuro Edukacji Publicznej Instytutu Pamięi Narodowej w Lublinie spotkań nauczycieli oraz historyków z Polski i Niemiec, poświęconych nauczaniu w obu krajach historii najnowszej, a zwłaszcza sposobom ukazywania w szkolnej edukacji wzajemnych relacji między obydwoma państwami i obydwoma narodami w XX wieku.

Gdy po wyborach z 2005 roku Prawo i Sprawiedliwość utworzyło rząd, Tomek został w nim wiceministrem kultury i dziedzictwa narodowego. Miałem zatelefonować do niego z gratulacjami, ale – jak to stosunkowo często bywa – to on uprzedził mnie i zadzwonił 12 grudnia. Pamiętam, że siedłem wówczas przez park na tyłach Pałacu Krasińskich. Od razu pospieszyłem z gratulacjami, lecz znów to on był szybszy i powiedział: „To ja gratuluję tobie”. Nie wiedziałem, o co mu chodzi, lecz szybko wyjaśnił, że jestem nazajutrz (w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego) zaproszony do ministra Kazimierza Ujazdowskiego. Tomek był przy tym wszystkim dość tajemniczy. Okazało się, że wraz z sześcioma innymi historykami, badaczami dziejów najnowszych, w tym może zwłaszcza historii Solidarności: Antonim Dudkiem, Andrzejem Friszkiem, Andrzejem Paczkowskim, Wojciechem Roszkowskim, Włodzimierzem Suleją i Janem Żarynem zostałem odznaczony niezwykle dla mnie zaszczytnym srebrnym medalem Gloria Artis.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości wtedy i nie ulega dzisiaj, że Tomasz miał swój udział w całej tej akcji. W fakcie, że odznaczono historyków o zróżnicowanych sympatiach politycznych, dostrzegalem echo tak

typowego dla Tomka myślenia państwowego, a nie partyjnego. Dlatego też, gdy po zwycięstwie wyborczym Platformy Obywatelskiej w 2007 roku Tomasz (na zasadzie zupełnego wyjątku) w nowym politycznym rozdaniu utrzymał swoje ministerialne stanowisko, bardzo się ucieszyłem – chcąc widzieć w tym ślad myślenia w kategoriach dobra publicznego.

Gdy w nowym politycznym rozdaniu Tomasz utrzymał swoje ministerialne stanowisko, bardzo się ucieszyłem – chcąc widzieć w tym ślad myślenia w kategoriach dobra publicznego

Raz jeszcze Tomek odegrał pewną rolę w moim życiu, a może tym razem to nawet ja większą w jego. W grudniu 2008 roku jego żona, Magdalena, podjęła pracę w kierowanym przeze mnie Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej

w Warszawie. W trakcie wstępnej rozmowy – komplementując Tomasza – między innymi powiedziałem do niej niegrzecznie, a nawet na swój sposób bezczelnie, że jeżeli ona okaże się chociaż w połowie tak wartościowym pracownikiem, jakim byłby jej mąż, to zrobimy, przyjmując ją do pracy, znakomity interes. Te raz dopiero zdałem sobie sprawę z tego, że nigdy nie widziałem ich razem, a co więcej nawet nie miałem okazji z Tomkiem rozmawiać o „mojej podwładnej”.

Wreszcie przyszedł poranek 10 kwietnia 2010 roku. Ten dzień wszyscy pamiętamy tak samo, a zarazem każdy inaczej. Od godziny dziewiątej bez przerwy oglądałem TVN 24. Było coraz straszniej. Co chwila

podawano kolejne nazwiska znanych osób, które zginęły w tragicznych okolicznościach. Za każdym razem wydobywały się ze mnie różne „święte” westchnienia w rodzaju: „O Boże!”, „O Jezus!”. W oczach powoli zaczynało brakować już łez. Nie żyłem w czasie wojny i nigdy w moim pięćdziesięcioośmioletnim życiu w jednej chwili nie straciłem dziesięciu kolegów i znajomych. Wiem, że inni – przy czym nie chodzi mi tutaj o rodziny zabitych – tego dnia stracili jeszcze więcej i jeszcze bliższych im ludzi, ale cierpienie i żal są z natury rzeczy subiektywne: jedni odczuwają to mocniej, a inni (wcale od nich nie gorsi!) słabiej. Gdy więc padło nazwisko Tomka (kolejnego bliskiego mi człowieka), a byłem wtedy w pokoju sam, nie wytrzymałem i wykrzyknąłem z rozpaczą w zupełnie inny sposób: „No, kurwa mać!”. Nie potrafiłem powstrzymać samociekających łez. Wraz ze śmiercią Tomka, kolej na w życiu niezamknięta sprawa została bez mojego udziału zamknięta w sposób nieodwołalny...

Jerzy Eisler

Artykuł ukazał się w Księdze Pamięci Tomasza Merty wydanej przez Teologię Polityczną i Muzeum Historii Polski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego